ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 15. Maja 1893. Nr. 10.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

KAMIEŃ W OLGIENIANACH.

(Dokończenie).

Tęki zatem, płacze i narzekania wnet się zmieniły w radość i pociechę niewymowną, gdy się wszyscy swobodnemi i wolnemi obaczyli; wszyscy upadli na kolana dziękując naprzód Bogu, za to cudowne wybawienie, a potem każdy wielbił rycerstwo, całował nogi wodzów, i ledwo się opamiętywał w szczęściu... Toż znowu jednak wróciły się płacze i szlochy, gdy się zaczęto rozwiadywać każdy o swoich rodziców, rodzice o dzieciach, o domostwach popalonych, o porzniętych rodzinach... gdy się zaczęto rozpoznawać, łączyć i ściskać... Żołnierze nawet płakali. Ja tylko stałem na boku sam jeden, i nikt do mnie się nie zbliżał, nie garnął, ani poznawał.

— Biednaż była dziecina z waszej miłości! — rzekł Breśniak.

— Aj tak, bardzo biedna. Nakoniec jeden z rycerzy, zapytał mię litościwie: »a ty pachole czyjś? i skądeś?«

Opowiedziałem moje nazwisko, i jak mogłem o sobie, dodając nazwanie miasteczka, do którego rodzic mój był pojechał. — Gdy tak jest rzekł on, toś ty sierota, bo z miasteczka tego wątpię czy żywa dusza uszła; zginęła cała ludność męzka pod mieczem pogańskim.

Na tę bolesną nowinę, zaszedłem się od płaczu: wyraz ten sierota jak nożem mię przebił, bom go już raz słyszał z ust konającej matki; poczułem więc dziecinnem sercem fatalność jego i nieszczęsną pewność, że już i ojca nie ujrzę... Poczciwy ów porucznik, bo tak go po obozie nazywano, wziął mię za ręce i gładząc a pieszcząc: — uspokój się — rzekł, — dziecino; jest Bóg opiekun wszystkich sierót, ja cię nie opuszczę.

— Patrz! patrz! — zawołał młodzieniec przerywając opowiadanie swoje, — jak dobrze trafiłem! Oto borek, który nam zakrywa Olgieniany; jak go przejedziem będziemy już na polach ojca mojego. Pośpieszajmy! pośpieszajmy na miłość Boga! bo mi serce wyskoczy z piersi, albo pęknie... i wioseczka na lewo bodaj do nas należąca: tam mamka moja mieszka!... Ah może już ona dawno mieszka obok matki mojej! pośpieszajmy! — Pośpieszajmy, — powtórzył Filip — łatwiej to waszmości powiedzieć, ale konie tego nie rozumie-

ją, a choćby i zrozumiały, to nad siłę nie skoczą. — Tak hamując niecierpliwość jednej strony, podbudzał rzeźwość drugiej, jak dobry obustronny przyjaciel, pragnący pogodzić interesa wzajemne.

— Ale jakim cudem stało się, że ojciec waszmości żyje? — zapytał on znowu, — gdy ten porucznik powiadał że go Tatary zabili. — Tak i ja mniemałem, lecz pamięci jego i tych stron rodzinnych, nic mi z serca wyjąć nie mogło, a ile razy spojrzałem na mój relikwiarzyk, którego mi na piersiach Tatar nie dojrzał i nie odebrał, tylekroć zawsze zapłakałem, ale razem zawsze mi jakaś nadzieja czy przeczucie roiło się w duszy, i powiększając tęsknotę, jakby magnesem ciągnęło mię w te strony.

I dla tego, gdym doszedł wieku i szablę ujął w rękę, bo jako szlachcica to mój był los jedyny, więc jak się zdarzyło, że wojska Koronne i Litewskie były w kupie, nie zaniedbałem nigdy rozpytywać się u Litwinów o tutejszych stronach, wtrącając bojaźliwie imię ojca mojego. A nuż? a nuż?

Długo daremnemi były moje pytania, ale żem je bezustannie i z serdecznego nałogu, jakby pacierz jaki, powtarzać nie przestawał, więc mię Bóg przed pół rokiem pocieszyć raczył. Bo gdym raz u rycerstwa z pod znaku pana Dorohostajskiego, marszałka wielkiego Litewskiego, moje zwykłe czynił inkwizycye, jeden z towarzystwa Okuszko, zwany, zapytał mię: — a o jakiego to waszmość Starosielskiego pytacie, czy nie o Fiedora, którego to Tatarzy srodze kiedyś na Ukrainie pokaleczyli, i synka mu czy zabrali, czy zabili?

Skoczyłem jak warjat na piersi towarzysza: płakałem, całowałem go, ściskałem natarczywie, i krzyczałem w uniesieniu. O tego samego! o tego samego! to mój ojciec! O dla Boga czy żyje? Czy żyje teraz? — odpowiedział mi Okuszko — tego nie wiem, ale przed sześcią laty, żył jeszcze stary i trojakie codziennie za waszmość, jeżeliś syn jego, wznosił do Boga intencye; to jest: aby ci dał niebo, jeżelibyś nie żył, abyś się niepoturczył, jeżeli żyjesz, i nareszcie aby cię tu na ziemi lub tam w niebie oglądał.

O ileż to łez ten nieborak wylewał przy swych modłach nieustannych, i przy opowiadaniach niefortunnych losów; kilka miesięcy leżał on w jakimś tam klasztorze nim się podleczył ze srogich ran swoich, potem szukał waszmości po całej Ukrainie...

— I to dziwno, że nie znalazł, przerwał Brześniak, przecież widziano w tłumie uwolnionych i waszą miłość, i wiedziano kto waszmością zabrał i przytulił.

— Tak, ale porucznik Pancerzyński, (tak się bowiem mój dobroczyńca nazywał), odesłał mię wnet do domu swojego aż do Mazowsza, a widać, że mój ojciec nie natrafił na świadków mego uwolnienia i losu; gdy zaś wszyscy w tę chwilę sobą i swojemi zajęci byli, mało więc kto na mnie i uważał, a mniej jeszcze ktoby zapamiętał.

— Otóż, — powiadał Okuszko — wszędzie rodzic waszmości trafiał na wiadomość, że cię Tatarzy uwieźli... przesiedziałem u niego w Olgienianach tygodni ze sześć, przypadkowo tam trafiwszy... — A dla czegóżeś waszmość wnet nie pojechał do tatulka, rozpytawszy się drogi u Okuszki? — To też o drodze zasięgnąłem niejakich odeń informacyj, ale chorągwi naszej, idącej właśnie na wojnę, odstąpić nie mogłem: któżby mi uwierzył, że odjeżdżam szukać ojca, gdyśmy szli szukać nieprzyjaciela!... O Boże! wykrzyknął tu Julian, przerywając nieporządne swe i niedokładne opowiadanie. O Boże! Otóż Olgieniany! bo właśnie wyjechali z borku, i ujrzeli jak na dłoni dworek...

V.

Pięknaż to prawdziwie okolica, osłonięta do koła lasem, zda się w ustroniu przechowana na to, aby wchodzący w nią niespodzianie wdziękiem jej i prostotą zachwyceni byli. Przechylona w rozmaite wzgórza i doliny, pomiędzy któremi żywa się przemyka struga, ścieśniona we dworze między wysokiemi brzegi i groblą w biegu ujęta, napełnia

stawek i kaskadą zeń wyskakując, biegnie dalej między łąki i pola.

Tu i ówdzie po wzgórzach, stoją jako zabytki dawno wyciętych puszcz Litewskich: to samotna brzoza długiemi swemi warkoczy, nad krzyżem mchem ozieleniałym nawisła, to sosna wpółzeschła, dźwigająca na starych swych konarach, lub kryjąca w swych wnętrznościach barcie i ule pszczółek; to znowu pod starożytnym a czerstwym jeszcze dębem, wysypała się młoda zarośl, jak prawnuki pod opieką pradziada...

Nakoniec las gęsty i toporem niedotykany, okolając to spokojne zacisze jedną swą przedłużoną odnogą, a drugą aż ku ogrodowi zachodząc, każdego przechadzającego się po nim, wciąga, że tak powiem, do siebie, i nagradza fatygę nastręczając co krok prawie, to kurhany, to kamienie nadzwyczajne, to jakieś bez podania i wieści, a wyraźnie ręką ludzką sypane, okopiska: dla rozmyślań, badań i wniosków...

* * *

O Boże! otoż jesteśmy na miejscu!... obaczę więc wnet ojca mojego... padnę mu do nóg... mówił drżący młodzieniec, stawał na strzemionach, rozpatrywał okolicę, uśmiechał się i szlochał razem: słowem, wzruszenie jego głębszem jeszcze i żywszem było, niżeli przed kościołem Gierwiatskim. Co uważając Filip, zajechał naprzód i stanął mu w poprzek drogi. — Co to jest? zawołał niecierpliwie Julian. — Posłuchaj mię waszmość, — rzekł Filip. — Jam sobie symplak, »w szkole nie bywałem, rószczki nie widziałem,« ale natomiast między ludźmi bywałem, a co się tu i owdzie zarwało, to nie odbiło się jak groch od ściany... Oto nie raz słyszałem, że i nagła pociecha, jak nagłe nieszczęście, może duszę z człowieka wyparć; więc mi przysło na myśl, że jak waszmość od razu i raptem objawisz się tatulkowi, a padniesz mu do nóg, to z wielkiej radości staruszek okoleć może. Pomyśl waszmość nad tem... znajdziesz razem ojca i stracisz.

Zastanowił się Julian; masz racyę poczciwy Filipie, rzekł, ale jakże uczynić? czyż potrafię? czy zdołam pohamować się, gdy ujrzę oblicze, które mi nigdy z duszy i z pamięci nie wyszło.

— A hamuj się waszmość jak mogąc, ja będę milczał jak pień. A kiedy już wszystko wyjdzie na wierzch jak oliwa, to wtenczas... poproszę obroku dla koni.

* * *

Młodzieniec zamyślił się... jechali... i stanęli przed bramą... którą gdy wyrostek wybiegły naprzeciw odmykał. — Ejże! — rzekł — znowu Filip, ejże pamiętaj waszmość ostróżnie, ostróżnie!...

Właśnie przechodziła dziedziniec staruszka poważna, lecz nie zgrzybiała jeszcze... — A miałażby to znowu być taż sama, która i mnie wędrowca, niedawno ze staroświecką uprzejmością na tymże dziedzińcu spotkała?... Oh! nie, zapewne; dom przetrwać może długie pokolenia ludzi, przechodzących przezeń tylko popasem... Julian lubo z rysów nie mógł przypomnieć i poznać, wszakże się łatwo domyślił, że to jego ciotka, która go niegdyś na Ukrainie tak serdecznie pieściła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł on zsiadłszy z konia i witając nizkim pokłonem matronę.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała, — witamy waszmość, — mówiła dalej, — witamy waszmość, i radzi jesteśmy każdemu przybywającemu w imię Boskie, do szlacheckiego naszego domku, a tem bardziej rycerzowi, który, jak widzę po waszmości, i szwankował jeszcze ciężko. Zkądże Pan Bóg prowadzi? zapewne z za Dźwiny; bo tam to teraz podobno wojaczka panuje. Proszę koniki do stajni na wygodę, a wraz i mój pan brat a gospodarz nadejdzie i bardzo będzie rad tak miłemu gościowi.

— Gadatliwe to, wiekowi staremu zwyczajne powitanie, niemniej jednak szczere i serdeczne, — przerwał Julian, — wszakże — rzekł on — znajduję się w domu pana Fiedora Starosielskiego?

— Tak jest, tak.

— Mogęż go wnet widzieć?

— Wraz, jak mówiłam, nadjedzie; alboż waszmość macie cokolwiek pilnego do mego brata? On tu w podle za ogrodem nad rzeczką, mówi paciorki pod swoim dębem, i ma tam robotkę, którą sam sobie wymyślił, daj Boże na długo niepotrzebną, bo...

Julian nie czekał dalej i poszedł szybko na miejsce wskazane: znał on je dobrze, bo dąb ten, przy nim małe jeszcze drzewko, żołędziem zasadzony był w dniu jego urodzenia w ziemię, ręką ojca, który mu potem rozgarnionemu już chłopczykowi, tę pamiątkę nie raz w serce wrażał.

Zdziwiona staruszka zwróciła się do Filipa trzymającego konie, lecz ten poprowadził je do stajni; a tak pokręciwszy głową, weszła do domu dla przygotowania wieczerzy dla gości.

* * *

Na wysokim brzegu strumienia, wlewającego swe wody do stawku, o którym wyżej nadmieniliśmy, pod dąbkiem urosłym już w piękne drzewko, siedział na niskim stołku starzec, nad szeroką płytą kamienną, i pilnie młotkiem w nią stukał...; spostrzegłszy, czy posłyszawszy krok nadchodzącego, powstał.

Tymczasem Julian jak wprzód przed ciotką tak teraz przed ojcem, wymówił zwykłe chrześcijańskie powitanie, i po zwyczajnej także odpowiedzi: — Witam, — rzekł staruszek — miłego gościa. Zkądże przybywasz? i jakim przypadkiem tu waszmość wstąpiłeś, czemu wielce rad jestem.

— Jadę z pod Smoleńska i umyślnie zboczyłem z drogi, — mówił Julian, — a ledwo mówić mógł; jednak pomny przestrog Filipa i własnego acz trudnego postanowienia, aby się ostróżnie odkrywać, zmienić chciał rozmowę. — I nad jakąż to pracą znajduję was? — zapytał.

— Umyślnie tu waszmość zboczyłeś, więc musi być przyczyna temu? Jakaż, jeżeli łaska? Zakłopotany młodzieniec, a wszakże jeszcze panujący nad sobą, rzekł jąkając się: — umyślnie tu zboczyłem z drogi... w nadziei, że wynajdę dom jaki szlachecki... łaskawy i chrześciański, któryby pokaleczonemu na usłudze kraju żołnierzowi, po trudach wojennych odpocząć... i rany pogoić dozwolił.

— Toż go zacny wojaku i znalazłeś, — odpowiedział starzec biorąc Juliana za rękę, i ściskając ją czule, gdy ten wzajemnie i z uniesieniem całował ojcowską prawicę. — Pracę nad którą mię znajdujesz, — mówił dalej Starosielski, podejmuję sam dla siebie, bo niestety, nie mam przy sobie nikogo, ktoby mi po śmierci, dybiącej już na mnie zblizka, taką się przysłużył. Kuję więc sobie jak widzisz waszmość i właśnie dziś dokończyłem, kamień który naciśnie me kości... Miałem syna jedynaka, byłby on teraz młodzieniec jak waszmość i może jako i wy, rycerskie wiódł życie i szlacheckiemu imieniowi memu nowego dodał połysku, możeby pocieszał biedną teraz bez niego starość moją... i konającemu zacisnął powieki... a do Boga za duszę się pomodlił. — Oczy i ojca i syna zachodziły łzami.

— Czyliż on już przed Bogiem? czy na tej ziemi? nie wiem. Opowiem później waszmości, jeżeli słuchać zechcesz historyę tego ulubionego mego dziecięcia i mego nieszczęśliwego życia. A ponieważ nadzieja nie opuszcza człowieka aż do grobowej deski, więc na tym kamieniu, nie dokułem ostatniej liczby w dacie mej śmierci; bo najprzód nie wiecie dnia ani godziny... a może też Bóg miłosierny zlituje się nad starcem, u kresu jego życia, i wysłucha codziennych jęków moich... Może cudem powróci mi syna jedynego... natenczas umrę szczęśliwy i spokojny... a on niech na tym głazie, dokuje mi tę liczbę ostatnią!...

— A niechże mi wprzód pokaleczą, a choćby i utną i tę drugą rękę, nim tę ostatnią liczbę na twoim grobie kuć będę, ojcze mój! wykrzyknął pancerny. Jam twój syn! Jam twój Julian... i z rzewnym a głośnym płaczem, rzucił się do nóg starca.

— O Boże! — zawołał starzec i oniemiał. — Znasz ojcze ten relikwiarzyk?



PLAC MARYACKI W KRAKOWIE.

(Obacz objaśnienia rycin na str. 160.)

Starosielski porwał relikwiarzyk z rąk klęczącego przed nim młodzieńca, spojrzał, przycisnął do ust... — to mojej Heleny... — rzekł, — i wpatrzywszy się chwil kilka w twarz jego; — Tyś mój syn! Tyś mój Julian! Tyś jej obraz prawdziwy! — mówił łkając, i porwał go z klęczków... i tulił do piersi...

Uczucia, łzy i westchnienia ich w tej chwili, pojmą rodzice i dzieci kochające się nawzajem... Bóg daje nieszczęśliwym takie chwile, aby nie zwątpili o opiece i miłosierdziu Jego.

* * *

Niestety! w rok potem, łzami zalewając robótę, kuł syn żałobą obleczony, liczbę 2, dokonywającą daty jego sieroctwa; a podanie tej smutnej wspólnej ich pracy zostało w słowach powtarzanych dotąd przez okolicznych mieszkańców: »Ojciec zaczął kuć sobie kamień, a syn jemu dokończył.«

Szeroka płyta głazu z wybitym głęboko starożytnemi literami napisem:

Tu leży
FIEDOR STAROSIELSKI.
Żył lat 80.
Umarł w roku 1612

widzieć się daje w Olgienianach na wyniosłym brzegu strumienia, a z przeciwnego, dąb ogromny, długim go swym przez wodę rzuconym cieniem osłania.

Marya Leszczyńska.

(Ciąg dalszy.)

W przeznaczonej Alzacyi mieli prawo Leszczyńscy wybrać miejsce zamieszkania podług upodobania. Wybór padł na Weissenburg, dokąd 10 Stycznia 1719 roku wyjechali.

Weissenburg, położone nad rzeką Lauter, wśród doliny dzikimi wzgórzami otoczonej, gościnnie i mile powitało naszych wygnańców. Dom Leszczyńskich składał się z jednopiętrowego frontu i dwóch skrzydeł, oddzielony od ulicy żelazną kratą, z bramą o dwóch słupach z czerwonego kamienia. Po za domem ogród z fontanną się mieścił. Skromne to pomieszkanie od zajmowanego w Dwóch Mostach, o wiele było przecież wykwintniejsze.

Marya Leszczyńska w nader młodym wieku stała się przedmiotem miłości i uwielbienia. W piętnastu latach wzbudziła uczucie o dwa lata starszego od siebie młodzieniaszka, margrabiego Badeńskiego, Jerzego. Ojciec nie zachęcał jednak do tego małżeństwa, przez wzgląd na znaną dumę Margrabiny Badeńskiej, która świetniejszych związków dla syna swojego pragnęła. Drugim z kolei był Ludwik, hrabia d'Estrées, jeden z tych, który na powitanie przybywających do Francyi wyjechał. Wdziękiem układu, szlachetnością i ukształceniem, zjednał sobie od razu serca wszystkich, i byłby niezawodnie rękę Maryi otrzymał, będąc z nią nawet zaręczonym, gdyby jej się inne nie znaczyły losy.

Kardynał de Rohan został mianowany członkiem Rady Regencyi, co go jeszcze więcej zbliżyło do dworu francuskiego; po większej części bawił w Wersalu. Odwiedzali go jednak Leszczyńscy w Sawern. Dwa dni zatrzymywali się w Strasburgu, gdzie ich przyjmowano z zapałem najszczerszego współczucia. Hrabia d'Estrées, pełen nadziei poślubienia ukochanej dziewicy, starał się o uzyskanie odpowiedniej godności, wiedząc jak wielki zaszczyt miał go spotkać w zamierzonym związku. Na posłuchaniu u króla wypowiedział swe uczucie i wynurzył zamiary na przyszłość. Lecz młodziutki Ludwik niechętnie go wysłuchał, uważając, że zbyt wygórowane ma żądanie, i powiedział, że król pozbawiony korony, nie przestaje być królem, że więc córka Leszczyńskiego do innych koligacyi ma prawo.

Młodzieniec ze zbolałem sercem odjechał, za pośrednictwem kardynała zrzekając się ręki Maryi, której tak mało czuł się godnym. Tymczasem wiadomość o małżeńskich zamiarach hrabiego d'Estrées, poruszyła umysły na francuzkim dworze, świadomym nieszczęść i zacności rodziny Leszczyńskich; o wdziękach i wykształceniu Maryi, również dochodziły wieści. Ludwik Henryk książe de Bourbon wnuk Kondeusza, zwany w historyi Monsieur le Duc, pomyślał o pozyskaniu jej dla siebie. Miał lat 31, był wdowcem. Natura skąpo uposażyła go we wdzięki; największe upodobanie znajdował w koniach i zwierzętach, których wielkie menażerye utrzymywał. Uważano go za najbogatszego pana we Francyi, cała Pikardya bowiem należała do niego, a przytem miliony zarabiał na banku słynnego Lawa, z którym grał na współkę. Lubił przepych i był miłosiernym, co w oczach Maryi stanowiłoby niezawodnie największą z jego zalet, jeżeli nie jedyną.

Lecz jakże ciężką walkę przebyła biedna, gdy jej wybierać przyszło między uczuciem dla hr. d'Estrées a uczuciem dla rodziców — i obowiązkiem spełnienia ich woli? Szło o poprawienie ich losu, a wysokie stanowisko jakie zająć miała, zaślubiając pierwszego dygnitarza Francyi, i ich stanowisko zmieniało od razu.

Najlepsza córka (bo trudno w dziejach o przykład bardziej kochającej i wdzięczniejszej), zgodziła się na wolę rodziców, gdy nowa przemiana, często w sferach dworskich mająca miejsce i tym razem się wydarzyła. Ludwik XV, król francuzki, sam zapragnął poślubić cnotliwą i uroczą księżniczkę.

Wiadomość o świetnym losie czekającym Maryę, wcale jej nie odurzyła. »Obawiam się, rzekła, abym dla korony ziemskiej, nie straciła niebieskiej.« Przyuczona od dzieciństwa do poprzestawania na małem, skromna w żądaniach i upodobaniach swoich królewna, z przerażeniem myślała o francuzkim tronie. Szczególniejsze jednak przeczucie miała wtedy, zanim jeszcze ktokolwiek o małżeństwie tem pomyślał. Gdy pierwszy raz znajdowała się na nabożeństwie w kościele francuzkim w pobliżu Dwóchmostów, modlono się za dziesięcioletniego naówczas króla. Słysząc wyrazy »Domine Salvum fac regem«, Marya zalała się łzami tak, że trudno było ją uspokoić.

Opowiadają także w Weissenburgu, gdy wzruszona nędznym stanem żebraczki, rzuciła jej ostatnią sztukę złota, jaka była w jej posiadaniu, ta podnosząc z wdzięcznością ręce do góry, zawołała: »Niech Cię Bóg błogosławi księżniczko! Będziesz niezawodnie królową francuzką!«

Marya miała 22 lat i była o 7 lat starszą od króla, gdy kardynał de Rohan przybył w roli dziewosłęba. Zwalczono wszystkie jej skrupuły, zapewniając, że tak zaszczytny wybór z pomiędzy stu księżniczek ją spotkał. Miała ona sławę najuczeńszej panny między koronowanemi, posiadała bowiem sześć języków, różnorodne talenta i wiele gruntowych wiadomości, co stanowiło naówczas wielką osobliwość.

Marya nie była piękną w właściwem słowa znaczeniu. Nizkiego wzrostu, o nieregularnych rysach, miała ona wdzięk towarzyszący zazwyczaj szczeremu sercu i szlachetnemu charakterowi. Śliczne jej oczy rozumnie patrzyły, a cała dobroć duszy malowała się w uśmiechu.

Król Ludwik zebrał swą przyboczną Radę i oznajmił jej uroczyście swój zamiar żenienia się z Maryą Leszczyńską. »Panowie, zawiadamiam was, mówił, iż umyśliłem pojąć za małżonkę, córkę króla Stanisława, i sądzę, że tym wyborem uszczęśliwię i siebie i cały naród.«

Naród z pewnością nie miał nigdy powodu żalić się na królowę, która mu była matką. A jednak zanim przyszło do ostatecznych ślubów, złość i zawiść ludzka wszelkiemi siłami starały się im przeszkodzić. Plotkom, satyrom, bezimiennym listom nie było końca. Pomawiano Maryę o kalectwo, o choroby rozmaite; jakoż istotnie o chorobę przyprawiły ją te oszczerstwa, chociaż w małej cząstce zaledwie dochodziły do nie-

winnych jej uszu. Nie dość na tem: znowu odkryto spisek na życie króla, miał być zatruty tytoniem.

Chwilowo przysłaniające horyzont rodzinny chmury, rozwiał przybywający z kontraktem ślubnym Tarło. Król położył podpis swój dnia 19-go Lipca 1725 roku. Marya miała otrzymać 300,000 luidorów i 20,000 sztuk złota corocznie. Jej też przeznaczono, według przyjętego zwyczaju, dochody ze wszelkich wakujących urzędów, których przez całe życie używać miała.

Przy końcu Lipca Leszczyńscy przenieśli się do Strasburga, gdzie do dnia uroczystego chcieli zabawić. Urządzono im wspaniały dwór. Królowi Stanisławowi przedstawiali się tam ambasadorowie zagraniczni. Na dzień 14 Sierpnia oznaczono ślub; książę Orleanu zastępował króla.

Przejętą ważnością przyjętych obowiązków, królowa na kilka dni przed ślubem schroniła się do klasztoru, dla rozważania ich w ciszy i odosobnieniu.

Ze wszystkich stron Francyi nadciągnęli dygnitarze, współzawodnicząc o pierwszeństwo powitania królowej. Książę d'Antin przemówił, oświadczając się raz jeszcze o Maryę, mówiąc do Leszczyńskiego między innemi, następujące słowa: »Wielki Monarcha nasz rzucił okiem na dostojny dom Waszej Królewskiej Mości, i przełożył go nad wszystkie domy Europy, nie dla innego powodu, jak dla cnót i rzadkich przymiotów, które odznaczają Szanowną Waszej Królewskiej Mości osobę, i które się tak szczęśliwie przelały na Najjaśniejszą jego córkę. Wspaniały książę, któremu ów król powierzył rządy swojego państwa, a któremu przedewszystkiem idzie o szczęście jego Monarchy, porzucił wszelkie względy na własną krew, byle tylko wyborem królewskim zaszczycić cnotę. Wysokie przymioty Najjaśniejszej Królewnej dają jej prawo do zajęcia pierwszego miejsca na świecie.«

Na tronie, pod baldachinem siedziała królowa Leszczyńska. W tych samych mniej więcej wyrazach co do jej rodziców i do nich przemówił książe d'Antin. Świetną była wymowa, w której oddawał hołd wychowaniu i cnocie. Na balu, jaki wyprawiał wieczorem, przedstawiono Maryi całe towarzystwo; nużąca ceremonia ucałowania ręki trwała przez półtorej godziny.

Nazajutrz zamieniono pierścionki zaręczynowe, zanim w dniu 15 Sierpnia 1725 r. stały się symbolem wieczystych związków.

Strój księcia Orleanu błyszczał od złota i drogich kamieni; Marya również miała na sobie strój niezmiernie bogaty, cały ze srebrnej materyi, wyszywany klejnotami. Prowadzili ją rodzice. U drzwi wspaniałej katedry kardynał de Rohan, uszczęśliwiony z przyprowadzenia do skutku tak ważnego dzieła, w otoczeniu duchowieństwa oczekiwał przybywających ze święconą wodą.

Pod karmazynowym baldachimem, ustawionym przed wielkim ołtarzem, zasiadła rodzina Leszczyńskich, z jednej strony kardynał, z drugiej ambasadorowie. Wewnętrzną nawę zajmowało wojsko. Po odbytej ceremonii wysłuchali Mszy świętej, poczem wrócono do domu Leszczyńskich, gdzie Marya dziwną zastała przemianę; skromne jej pokoje zamienione zostały na świetne komnaty. Po dworskim obiedzie nastały pochody po ulicach miasta i urzędowe przedstawienia. Wieczorem urządzono teatr; dwie sztuki Moliera były przedstawiane, poczem nastąpiła zabawa u księcia d'Antin, z świetnym ogniotryskiem, z cyframi i herbami nowożeńców.

(Dokończenie nastąpi.)



W świat! (Obacz powiastkę: »Trzy chwile z doli wychodzców.«)

Legenda o świętokrzyzkim kościele.

Na karym tam koniu
Ktoś pędzi po błoniu,
Po dzikim przemyka się lesie;
Myśliwskich trąb granie,
Psów gończych szczekanie,
Po rosie z oddali wiatr niesie.
A jeździec wciąż pędzi
Wśród stromych krawędzi
Przepaści, wśród obcej krainy;
Ze znanych zszedł torów,
Wśród ciemnych mknie borów,
Sam jeden, bez wiernej drużyny.
Jak strzała koń leci,
Z pod kopyt skry nieci,
I z wichrem się puszcza w zawody.
Spłoszone mkną drzewa,
Wiatr grzywę rozwiewa,
Koń sadzi przepaści i wody.
Gdzie pędzisz, zuchwały?
Wszak dawno przebrzmiały
Twych druhów wołania i głosy.
Nieznane obszary
Tratuje twój kary,
I obce nad tobą niebiosy!
W rodzinne wróć strony,
Choć leśne opony
Nieznanym cię czarem zwabiły;
Rzuć dzikie bezdroże,
Wszak ono cię może
Do pewnej prowadzi mogiły.
Lecz jeździec nie pyta,
Skry sypią kopyta,
Jak wicher ugania po lesie;
Nabiegły krwią oczy,
On z borem bój toczy
Wciąż naprzód tam w lasy koń rwie się.
To książę węgierski,
Emeryk rycerski
Myśliwskim się harcom oddaje;
Drużynę porzucił,
Za kozłem się rzucił,
Co przed nim mknie ledwie o staję.
Mijają godziny,
Przez góry, doliny,
Za chyżym jeleniem on goni.
Lecz cuda czy czary?
Daremnie mknie kary,
Wciąż zwierzę w gąszcz leśny się chroni.
Choć słońce już zgasło,
Za szczyty gór zaszło,
Choć nocne opadły go ciemnie;
On konia wciąż wspina,
Żądnemi oczyma,
Jelenia szukając daremnie.
Lecz nagle! drgnął junak,
Wszak zachwiał się rumak,
Przystanął, pot krwawy się leje,
Wilgotna lśni grzywa,
Bieg oddech rozrywa,
Ostatnim wysiłkiem koń zieje.
Wiatr zimnem przejmuje,
Wśród lasu harcuje,
I świszczy szyderczy, złowrogi.
A jeleń gdzieś w dali
Po wichru mknie fali,
Wśród leśnej jeźdźcowi znikł drogi.
Emeryk wzniósł czoło,
Spogląda w około;
Bór stopą nietknięty i dziki,
I tylko czasami,
Gdzieś między lasami
Zahuczą ponuro puszczyki.
»Gdzież jestem?« zawoła,
I wzrokiem sokoła
Chce przebić gęstwinę, cień nocy.
Napróżno! Noc ciemna,
Głąb puszczy bezdenna,
I niema zkąd wezwać pomocy!
Samotny, zbłąkany,
Stał książę stroskany,
A pod nim koń dyszał pół żywy;
Czyż z dala od braci
Tu życie utraci,
Tu koniec go czeka straszliwy?
O! wolałby przecie,
Gdzieś walcząc po świecie,
Wśród boju dać życie, to miłe;
Niż tutaj samotnie
Umierać sromotnie,
Bez walki ledz w czarną mogiłę.
Pod zbroją rycerza
Raz pierwszy uderza
Nieznanem mu tętnem ból, trwoga;
Więc w niebo wzniósł oczy,
Tam żebrząc pomocy,
I westchnął serdecznie do Boga.
Wtem nagle — o cuda!
Czy czary, czy złuda?
Noc znikła, zajaśniał las cały,
Na ciemnych gór stoku,
W świetlanym obłoku
Stał anioł przejrzysty i biały,
I rzecze: »Rycerzu,
Drży pierś twa w pancerzu,
I bladość ci lica pokryła;
Żal stracić wiek młody,
Żal szczęścia, swobody,
Przeraża wśród borów mogiła.
Lecz żeś się w potrzebie
Do Boga na niebie
Tak modlił z ufnością i szczerze,
Bóg życiem cię darzy,
Lecz żąda, byś Jemu
Najdroższy skarb oddał w ofierze.«
Padł rycerz ku ziemi
I dłońmi drżącemi

Zdjął z piersi relikwiarz bogaty;
W nim Krzyża miał szczątki
I święte pamiątki,
Z Golgoty zabrane przed laty,
I szepnął: »O Panie!

Niech wiecznie zostanie
Krzyż święty wśród leśnych bezdroży,
Niech świadczy, że wszędzie
Wspomagać Bóg będzie
Każdego, kto ufność w Nim złoży!«

Gabryela Jasieńska.

O zwyczajach i obyczajach Dolno-Łużyczan i o ich siedzibach.

III.

Przyjrzyjmy się teraz ubiorowi Łużyczan Sprewskiego Lasu, a najpierw ubiorowi niewiast, które snać w całej dawnej oryginalności aż do naszych czasów go przechowały.

Praca na mokrych łąkach i na polu nie pozwala tu w czasie nie zimowym używać obuwia; to też noszą Dolno-Łużyczanki przy robocie tylko schludne krótkie spódniczki z gustownemi gorsecikami (stanikami), z pod których górą bielą się czyściuchne z przykrótkiemi rękawami koszulki, czem się bardzo korzystnie od wiejskich sąsiednich Niemek odróżniają, które zwykle w starej, wyszarzanej wychodzą do pracy odzieży. Na głowie nosi dolno-łużycka dziewczyna najczęściej śnieżnej białości chustkę, rzadziej czarną lub barwistą jedwabną. Chustki te zawiązują nasze Serbki bardzo sztucznie w kształcie turbanu z czterema końcami, z których dwa prostopadle rozchodzą się nad czołem, drugie dwa spadają z tyłu głowy. W sposobie wiązania rzeczonych turbanów są różne metody i rozmaite fałdowania, znamionujące pewne miejscowości Lasu Sprewskiego, tak, że po układzie stroju głowy poznasz, z którego sioła dziewoję masz przed sobą. Z pod chustek mężatek, bez powyżej wspomnianych końców zawiązanych, wyglądają duże czepce.

Spódniczki serbskich dziewcząt są zwykle barwiste — jaskrawe, często czerwone, własnej roboty płócienkiem podbite. Do spódniczek przyszywają w dni świąteczne gorseciki czarno-aksamitne, lub też ze zwyczajnej materyi, co ma głównie miejsce w dni nie świąteczne. Noszą też Łużyczanki (lecz nie zawsze) na krzyż założone chusteczki na piersiach, aksamitną spięte kokardą. Końce chusteczki tej jak nie mniej i końce kokardy kryją się pod fartuchem, który bardzo ważną w garderobie Serbek łużyckich zdaje się być rzeczą. Jest on zwykle dostatni, fałdzisty, szeroki i dłuższy od sukni, na przodku w sutą kokardę z dwiema długiemi końcami zawiązany. W niedziele, święta i przy uroczystych sposobnościach noszą Dolno-Łużyczanki wycięte trzewiki i bieluchne pończochy, tak że zawsze czy to przy pracy, czy w odświetnym stroju wyglądają bardzo pokaźnie, w ostatnim razie — rzekłbym — wyglądają uroczyście, zawsze hożo, najczęściej z uśmiechem serdecznym na ustach. Tylko gdy je jaki brat-wojak lub »przyjaciel« (krewny) zawiezie lub zaprowadzi do miasta, a zwłaszcza do Berlina i gdy je zacznie oprowadzać po stolicy, a mianowicie po zwierzyńcu, po muzeach, galeryach obrazów itp., wtenczas spoglądają one, jakoby wystraszone, więcej po miejskich paniach i pannach, niż po osobliwościach berlinskich, zwracając urodą, strojem, zaambarasowaniem się i tryskającem zdrowiem ogólną uwagę Berlińczyków na siebie, ale bo też wtenczas one w największej paradzie: spodniczki na nich jedwabne lub przynajmniej wełniane, w ostatnim razie z jedwabnem u dołu w kształcie szerokiej wstążki naszyciem. Od chustki na głowie, od jednego ucha do drugiego pod twarzą, ciągnie się podwójna, karbowana biała fryza, pod brodą białą kokardą zdobna.

Do ślubu stroi się panna młoda w ciemną spódniczkę, w biały fartuch,

białą chustkę i w biały bardzo szeroki fontaź około pasa z dwoma długiemi końcami z przodu. Na szyi ma do czterech sznurów korali lub innych błyskotek, a na głowie wysoką, kończystą czapkę, a raczej kołpak z sztywnej tektury, białą upięty chustką, barwistemi u wierzchu przystrojoną kwiatkami.

Są też dolno-łużyckie okolice, w których panna młoda ma na głowie zamiast owego kołpaka wieniec z białych i czerwonych kwiatów. Zdarza się też tu po niektórych miejscach, że prasta-



Dziewczyna z Alzacyi.

rym zwyczajem zakrywa sobie do ślubu jadąca dziewczyna twarz dużą białą chustką. Muzyka towarzyszy młodej parze aż do drzwi kościoła, do którego godownicy wchodzą parami. Po ślubie wstępuje wesele do gościnca, jeżeli o granicę do kościoła jechać musiano, zkąd po krótkiej zabawie i po poczęstnem huczno, głośno, wśród śpiewów weselnych i muzyki do weselnego domu się udają.

Pan młody ubiera się do ślubu w długą granatową sukmanę, w długie bóty, do piersi ma przypięty bukiecik, u którego wisi jedwabna, barwista chusteczka; u kapelusza ma wianeczek rozmarynowy z dwiema końcami wstążki. Jest też i drużba, weselnie także w rozmarynowy ustrojony wianeczek.

W domu panny młodej czeka godowników suta uczta. Jadącej do domu weselnego młodej parze zastępują drogę w poprzek długim płóciennym ręcznikiem, w czerwone zdobnym wstążki. Pan młody musi się datkiem pieniężnym wykupić, poczem jedzie wesele już bez przeszkody dalej.

Starodawnym dziwnym zwyczajem bawi pani młoda po ślubie jeszcze cztery tygodnie w domu rodzicielskiem, po którym to czasie przewożą ją do męża z całą wyprawą okazale, by świat widział, że jej rodzice nie puszczają biednie. Pieniężny zaś posag, a przynajmniej część takowego, otrzymuje narzeczony przed ślubem, by mógł — jeżeli obejmuje na siebie ojcowiznę, spłacić rodzeństwo, nim do domu swego sprowadzi małżonkę.

Codziennym ubiorem mężczyzn w serbskich Łużycach jest ubranie płócienne, którego główną szatą jest przydługawa katana; zaś odświetnem ich ubraniem jest granatowa długa sukmana. W okolicy Chociebuża (Cottbus) noszą się Łużyczanie w białych płóciennych, zieloną lub jaskrawo-czerwoną podszewką podbitych katanach i chodzą zimą i latem w manszestrowych, futrem obłożonych czapkach.

Inni Łużyczanie już narodowe kaptury futrzane pozarzucali, jak w ogóle mężczyzni mniej daleko dbają o zabytki po przodkach niż niewiasty, choć i te nie tyle z szczepowych względów trzymają się pradawnego stroju i dawnych zwyczajów, jak raczej z tego powodu, że im z niemi najporęczniej, najwygodniej, bo idąc z tradycyi drugą — rzecby można — stały im się naturą, a może i dla tego ich się trzymają, że »lada hetka — pętelka« naśladować ich nie może, bo ani potrafi, ani też ma na to.

Mają też łużyccy Wendowie czyli Serbowie i przy pogrzebach

swoje właściwości. I tak ubiera się żałobna niewiasta w Lesie Sprewskim w długą, białą oponę, na głowę wdziewa wysoki, biały, płócienny (nie kończasty) kołpak. Przed wywiezieniem zmarłego na cmentarz odbywa się zwykle przed domem żałobnym pod przewodem miejscowego nauczyciela religijny obrzęd, zwany »Dobra noc.« Po złożeniu zwłok do grobu ma miejsce nabożeństwo w kościele z ofiarą dla miejscowego księdza, składaną na ołtarzu. Po nabożeństwie schodzą się żałobnicy staro-słowiańskim zwyczajem na stypę pogrzebową. Ci, którzy zmarłego lub zmarłą zanoszą do grobu (a wybierają do tej posługi zwykle parobczaków, co słuszniejszych) otrzymują po zielonym listku. W kościołach zawieszali jeszcze przed niedawnym czasem Wendowie wieńce z imionami swych nieboszczyków tak, jak się to niejednokrotnie w Polsce dzieje.

Schodzą się też Łużyczanie na wieczornice z kądzielami, zwłaszcza w zimowej porze, i wtenczas to rozdmuchują się piosnkami, klechdami, powiastkami, rozpowiadaniem o dawnych zwyczajach i obyczajach iskierki, tlejące w sercach i w życiu tego ludu, a nić szczepowej tradycyi wplata się przy sposobnościach takich w pamięć i umysł młodzieży łużyckiej,

»Co ma przyjąć od narodu
Obyczaje na początek
I wziąć z chaty i ze dworu,
Z puszczy ciemnej i z futoru*)
To, co wszystkim wspólne z rodu,
Z czego idzie wszystek wątek.«

Na wiosnę wypędzają serbscy Łużyczanie zimę, a witają wśród śpiewów i muzyki wiosnę. Przypomina to obchód Marzanny na Górnym Szląsku.

W mięsopusty tętnią w Łużycach wioski ochoczem życiem; młodzież pląsa podskoczysto, bo im wyższe w tańcach podskoki, tem piękniejszy len urośnie na lato. Tak tu mniemają. W poście pomiędzy Łużyczanami poważnie. W katolickich zagrodach słychać pieśni pasyjne. Na św. Jan albo po M. Boskiej Nawiedzeniu schodzą się dziewczęta strojno i gwarno po południu do tej zagrody, w której na zimę wieczornice odbywać się będą. Każda przynosi parę wianeczkami przystrojonych bułek. Na żniwnych wozach wyjeżdża następnie młodzież na wolne miejsca za wieś albo pod las, gdzie wyrostki biegną o lepsze do mety, otrzymując w nagrodę wiankami przystrojone kołacze.

*) Zagroda rólnika.

Trzy chwile z doli wychodzców.

II.
W świat.

Lata płynęły różne, dobre i złe, lecz Pan Bóg zawsze tak wszystkiem kierował, że złe czasy góry zbytniej nie wzięły, a po niedobrej chwili lepsza następowała. Gdy jednego roku żniwa chybiły, drugi rok lepszy plon przyniósł. Walkowie biedy nie cierpieli, choć z dorobkiem wolniej było, aniżeli Walek sobie obiecywał.

Po czterech latach obdarzył ich Bóg drugiem dziecięciem. Była radość w chałupie. Lecz cóż na świecie stałego? Walkowa zapadła na zdrowiu. Z początku nie leżała, ale o wykonywaniu jakiej cięższej pracy ani pomyśleć nie mogła. Pobladła wielce i wychudła i zaledwie po izbie i podwórku włóczyć się była wstanie. Walek harał sam z robotą i zrobił wszystko, co było potrzeba. Lecz ile razy do domu wracał i żonę znękaną ujrzał, przejmował się mimowolnie smutkiem a czarne myśli z głowy ustąpić nie chciały. Tak szło kilka tygodni długich, o wiele dłuższych dla Walka i jego żony, niż dawniejsze. Choremu godzina dniem się zdaje. Lecz jeszcze szło...

Niestety pod jesień, kiedy zżółkłe

liście z drzew sypać się zaczęły, spadł też jeden listek z nadziei Walka; Barbarze zdrowie się nie poprawiło, lecz pogorszyło. Pewnego rana chciała wstać i uczuła, że za słaba jest do tego. Walek się przestraszył, i choć Barbara go pocieszała, iż nazajutrz wstanie, nie zwlekał, lecz najął furmankę i posłał po lekarza do miasta. Nie myślał nieborak, że gdy lekarz przybędzie, wtedy znowu z jego nadziei, liść jeden opadnie. Lekarz bowiem po zbadaniu chorej wziął go na bok i orzekł, że stan chorej jest tak groźny, iż tylko wtedy zdoła ją przy życiu zachować, jeśli będzie mogła ciągle leżeć a wzmacniające wina, rosołki, mięso jadać.

— Wszystko dam, wszystko kupię, czego trzeba, byle żyła! — odpowiedział i dotrzymał.

Grosz za groszem z oszczędzonych pieniędzy wydawał się na leki. Walek myślał sobie, gdy go składał do skrytki w szafie, że będzie mógł zań kawałek pola dodzierżawić. Teraz, ile razy ubrał grosza, miał takie uczucie, jakby rozkruszał jednę z swoich nadziei. Lecz nie było przy tem żadnego innego zastanawiania, jak to, że Barbara chora i że za te pieniądze kupione leki zdrowie jej przywrócić można.

W owej skrytce leżał też list brata Józefa z Ameryki. Jak go przed laty Walek w nią włożył, tak jeszcze spoczywał nietknięty i nieodpowiedziany. Teraz wsunął mu się pewnego dnia między palce, gdy po pieniądze sięgał.

Walek wziął kartkę, obejrzał i chciał znów włożyć. Lecz wtem się zatrzymał. Nie zamknąwszy skrytki, siadł przed oknem na skrzynce, rozwinął list brata i czytał...

Potem przez chwilę myślał i sam nie wiedział, że mu przez ten czas łzy z oczu kapały. Kiwnął kilka razy głową i listek znów do skrytki włożył...

Zima ostra zacząwszy się rychło, wlokła się, wlokła; Walkowie nie mogli się jej końca doczekać. W chacie było tak smutnie, tak smutnie...

Ale nakoniec zima przeszła, a z wiosennem słonkiem zdrowie Barbary widocznie polepszać się zaczęło. Walek codzień gorąco Boga prosił o wybawienie z kłopotliwej doli, o uzdrowienie żony.

Był już wielki czas, aby lekarz zaprzestał jeździć, a aptekarz dostarczać lekarstw, bo już prawie wszystek grosz ze skrytki zniknął.

Jednego dnia wyraziła życzenie, iżby chętnie gołębia zjadła. Walek wiedział, u kogo największe gołębie we wsi. Natychmiast sięgnął do skrytki po pieniądze.

I znowu list brata wcisnął mu się między palce. Podjął go, poznał i choć dobrze wiedział, co w nim stoi, znów siadł na skrzynce pod oknem i zaczął czytać.

»...Tutejsi ludzie mówią, że tu pieniądze leżą na drodze, tylko trzeba umieć je zobaczyć i zgarnąć... Pracujemy i myślimy, że nasz synek nie będzie potrzebował tak pracować, bo zbierzemy dla niego mająteczek...«

Tu Walek spojrzał na swego synka. który się bawił na ziemi, gwarząc sam do siebie. Biedactwo zmizerowane, bo gdy opieki matki brak, dzieciom nie dobrze!...

Znów łza zabłysła w oczach Walka. Włożył list do skrytki i poszedł na wieś szukać gołębi.

Lecz nie gołębie były mu w głowie; myśl jego ciągle wracała do listu brata.

— Gdybym!... pomyślał, lecz zaraz sam się zganiwszy, rzekł sobie w duchu:

— Jakże mnie o tem myśleć?...

Tymczasem roboty w polu się ruszyły; Walek z szczególną pieczołowitością je wszystkie wykonywał, gdyż na żniwach dobrych wszystką nadzieję zakładał, że zdoła się znów z biedy podnieść.

W sam raz też Barbara z dnia na dzień zdrowszą się stawała; blade jej policzki zaczęły się lekkim rumieńcem pokrywać; zdrowie wracało. Już mogła wstać i po izbie chodzić. W chałupie Walkowej zaczęło znów być weselej.

Na polu Walkowem wszystko ładnie stało; serce Walkowi rosło, gdy patrzał

na kołyszące się zboże na łanach. Razem ze zbożem rosły i jego nadzieje, że z biedy wybrnie.

Barbara też prawie całkiem wyzdrowiała i już się do wszelkiej pracy kwapiła, choć Walek jej zalecał, ażeby ostrożną była.

Lato się zaczęło i ku żniwom się miało. Gospodarze obchodzili pola, zrywali kłóski żyta, wykruszali i gryźli ziarno, smakując, czyli już wnet posiec je będzie można. Walek czynił tak sámo.

— Jeszcze z tydzień trzeba czekać, byle pogoda sprzyjała.

I to się stało po myśli Walka. Cały tydzień grzało słońce na dojrzewające zboża; codzień nieomal więcej pełnych kłosów słaniało się ku ziemi. Będzie obfite żniwo, bardzo obfite.

— Na Poniedziałek posieczemy żyto, — odezwał się Walek do żony, a było to Piątkowe południe, gdy tak mówił.

— Daj, Boże, sprzątnąć przy pogodzie! — odrzekła Walkowa.

Walek udał się do pracy, do której się najął u pewnego gospodarza, Walkowa sama została w chałupie.

Około trzeciej godziny zachmurzyło się pogodne dotąd niebo, burza się zerwała, niestety burza gradowa.

Kiedy grad począł trzaskać o szyby w oknie, Walkowa doznawała takiego uczucia, jakby jej kto po kawałku serca urywał.

— Grad, taki grad, — jęczała biedna — a nasze zboże nie zabezpieczone.

Grad padał nie dłużej nad pół godziny, lecz tak był wielki i gęsty, że na chwilę ziemia jak białym grochem się okryła. I burza ustała zwolna, tylko deszcz padał. Walkowa wyszła przed dom.

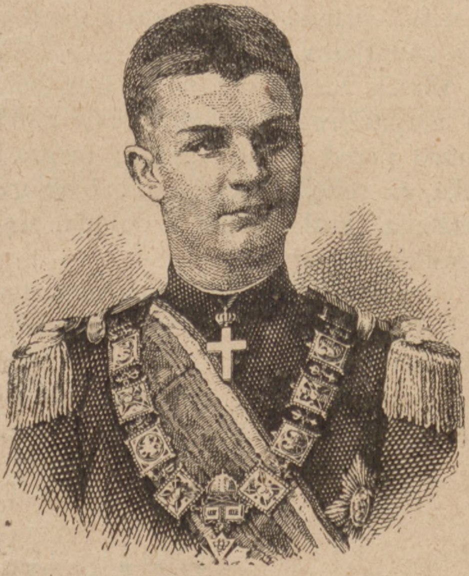
Wtem, patrzy, — przez zagony od pola bieży Walek. Jeszcze mu dobrze twarzy nie widzi, lecz przeczuwa, iż złą nowinę niesie, bo nadzwyczajnie się spieszy. Niedługo czekała z bijącem sercem. Zanim Walek do niej doszedł, już wiedziała, z czem przychodzi.

— Grad? — zawołała.

— Grad zbił do szczętu całe nasze żniwo! — cichym głosem odrzekł Walek, ciężko oddychając.

Gdy weszli do chaty, Walek siadł, jak martwy na skrzynce i zaczął rzewnie płakać. Walkowa nie usiłowała go pocieszać, bo cóż tu słowa mogły dopomódz. I ona płakała i do Boga wzdychała o pociechę. W izbie było cicho; z sieni tylko dochodził głos synka, bawiącego się z pieskiem, Murkiem...

Gdy Walek się nieco uspokoił, chęć go zebrała, zobaczyć, co im też jeszcze z pieniędzy oszczędzonych zostało. Za-



Aleksander, król serbski.
(Obacz objaś. rycin).

czął się obliczać z przyszłością. Zaledwie skrytkę otworzył, wcisnął mu się znowu list brata z Ameryki między palce. I znowu go wziął, oczy jego nagle się rozjaśniły właśnie tak, jak się rozjaśnią tonącemu, gdy słabą gałązkę pochwyci.

— Pojedziemy do Ameryki! — pomyślał i siadłszy, po raz trzeci list brata czytał, albo raczej z oczami w list wlepionemi medytował nad sobą i rodziną. To trwało długo... Wreszcie wstał, włożył list w zanadrze i wyszedł z izby.

— Pojedziemy! — wyszeptał, kierując swe kroki do karczmarza, o któ-

rym wiedział, iż się z agentami znał. Tam napisali list do brata, jako z żoną i dwojgiem dzieci chce przybyć do Ameryki i prosi go o przysłanie mu karty wolnego przewozu okrętem.

* * *

Brat nadesłał kartę i zapraszał do Ameryki. Nie pomogły łzy i prośby żony, nie pomogły rady sąsiadów i przyjaciół, a nawet przedstawienia księdza proboszcza. Walek się uparł i nie ustąpił.

Lato miało się ku schyłkowi, gdy dnia pewnego wyszedł Walek, w najładniejszy strój ubrany, z małym tłómoczkiem na plecach, z żoną i dziećmi ze wsi. Murek, wierny stróż biegł przy nich. Barbara płakała.

Walek zaciął się; na twarzy osiadła mu rozpaczliwa powaga, oczy patrzały ponuro przed siebie. Szedł, prowadząc synka za rękę, który nie czując grozy położenia, jadł kołacz i oglądał się na wszystkie strony.

Przy końcu wsi stał krzyż drewniany. To była granica wsi, odtąd zaczynały się pola innej wsi.

— Boże, zlituj się nad nami! — jęczała Barbara. Nie pozwól nam zginąć na obcej ziemi, lecz dozwól jeszcze raz powrócić do rodzinnej ziemi.

I Walek zdjął nabożnie kapelusz przed krzyżem i westchnął do Boga. W tej chwili uczuł takie ściśnienie serca, że jedno słowo zachęty, możeby go było z drogi do domu nawróciło. Lecz nikt tego słowa nie powiedział i Walek przeszedł granicę swojej wsi i szedł w świat!

Gdyby Walek oczami ducha był patrzał a uchem serca słuchał, byłby usłyszał owe słowo. Bo cała ziemia niejako wołała na niego: »Zostań!« A każdy kwiat polny i każde drzewo szumiało: »Nie odchodź!« Zaś ów krzyż przy drodze wołał: »Bądź wierny!«

Lecz Walek oślepł i ogłuchł na to wszystko. Małoduszna rozpacz ogarnęła go całkiem; niepowodzenie chwilowe zniechęciło go do rodzinnej ziemi. Szedł szukać szczęścia we świecie bez pamięci, że choćby wszystko na obcej ziemi znalazł, czego pragnął, ojczyzny nigdzie nie znajdzie ani tego wszystkiego, przez co ojczyzna drogą się staje sercu każdego.

W świat!

»Tam ludzie pieniądze na drodze zgarniają,« więc dalej w świat!...

(Dokończenie nastąpi).

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Plac Maryacki w Krakowie. »Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa wielka przeszłość w swoim łonie, to jedź, bracie, do Krakowa.« Piękne i prawdziwe te słowa. Kraków, to żywa księga, otwarta dla każdego Polaka, który w niej czytać chce. Nie ma miasta w całej polskiej ziemi, któreby tyle pamiątek drogich sercu polskiemu mieściło. A jak naród polski zawsze też był szczerze katolickim, tak i stolica dawnych królów polskich w swych pomnikach nosi wybitną cechę katolicką. Kto z Polaków może, niech choć raz jedzie do Krakowa; najstósowniejszą zaś do tego porą są Ziel. Świątki, w którym to czasie też i słane kopalnie soli w Wieliczce zwiedzić można.

W dzisiejszym »Świetle« podaje się piękny obrazek placu Maryackiego. Jestto plac na głównym rynku; z prawej strony widać kościół P. Maryi, z lewej starożytny kościółek św. Wojciecha, w głębi zaś Sukiennice.

Aleksander, król serbski, syn Milana i Natalii, urodził się 14 Sierpnia 1876, a więc liczy obecnie dopiero 17 lat. Podług konstytucyi serbskiej powinien był dopiero objąć rządy z 18-tym rokiem życia, a więc na przyszły rok. Ponieważ jednak rejenci, którzy za niego rządy sprawowali, źle rządzili, młody Aleksander gwałtem im rządy odebrał i królem się ogłosił. Pochodzi on z rodziny Obrenowiczów.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

W jaki sposób

zabezpieczyć się od pioruna.

Lubo dowiedzionem jest, że zaledwie jeden człowiek na milion ginie od pioruna, mimo to ludzie ogólnie obawiają się śmierci tego rodzaju i rozmaite stósują środki ostróżności, ażeby się od niej zabezpieczyć. Jedni zapuszczają w czasie nawałnicy rolosy, zamykają drzwi i okna, inni chronią się do piwnicy, naśladując bezwiednie przykład cezara Augusta, którego nerwy nie znosiły burzy. Nie jest to jednak miejsce tak bezpieczne jak sobie wyobrażamy, wiadomo bowiem, że piorun dosięgnąć może głębokości 30 a nawet 40 stóp. Cesarze japońscy kryją się podczas burzy do groty podziemnej, nad którą umieszczona jest cysterna; jest to bardzo dobry środek, gdyż woda stanowi doskonały przewodnik elektryczności i może zabezpieczyć od pioruna tych, co się pod nią znajdują. Źle jednak wyszedłby ten, ktoby podczas burzy zanurzył się po szyję w stawie lub jeziorze; Arago dowodzi, że piorun uderzając w wodę, nieraz zabija ryby. Raz po burzy musiano wywieźć z jeziora Cirknitz 28 wozów ryb zabitych w ten sposób. Starożytni byli przekonani, że skóry fok i wężów zabezpieczają od wypadku; inni doradzali przywdziewanie w tym wypadku szat jedwabnych. W tem ostatniem twierdzeniu, jest nieco prawdy, wiadomo bowiem, że jedwab jest złem przewodnikiem elektryczności. Zdarzyło się niedawno, że piorun uderzył w kościół; ksiądz ubrany w jedwabny ornat ocalał, kiedy tymczasem dwie osoby obok niego zabite. Zauważono też, że zwierzęta i ptaki mające włosy lub pióra ciemne, częściej ulegają wypadkom niż te, które posiadają jasne pokrycie skóry. Każdy podczas burzy zamyka okno, żeby się zabezpieczyć tak od deszczu, jak od pioruna. Jest to bardzo dobra ostróżność, gdyż przeciąg powietrza może sprowadzić piorun, nie sądźmy jednak, że szyby szklanne mogą nas uchronić od tego. Zdarza się nieraz, że piorun je przebija, zmieniając szkło w drobny pyłek. Najlepszym środkiem bezpieczeństwa jest piorunochron; każdy dom powinien być w niego zaopatrzony. Tam jednak gdzie niema piorunochronów, Franklin radzi trzymać się jak najdalej od komina, gdyż sadze są bardzo dobrym przewodnikiem elektryczności i piorun najczęściej przez komin wpada do domu. Najpewniejszem miejscem jest sam środek pokoju. Osobom bojaźliwym Franklin doradza leżeć w wieszadle zawieszonem na jedwabnych sznurach. Ludzie sami przez swoją nierozwagę zwiększają jeszcze niebezpieczeństwo: w domu zwykli się zbierać wszyscy razem w jednym pokoju, nie pomnąc na to, że w skutek nagromadzenia się wielu osób w jednem miejscu, powstaje przez oddychanie większa ilość pary, która może ściągnąć piorun. Ludzie zaskoczeni burzą w polu, chronią się pod drzewa, bez względu na to, że mokre drzewo jest najlepszym przewodnikiem elektryczności. Trzeba stanąć w odległości 30 stóp od wysokiego drzewa lub budynku. Bardzo jest niebezpiecznie biedz podczas burzy, gdyż w skutek tego, wytwarza się prąd powietrza, który może sprowadzić piorun.

Praktyczne rady.

— **Leczenie krupu.** Dzienniki francuskie podają następujący środek na leczenie krupu, stósowany wielokrotnie z powodzeniem we Francyi, gdzie właśnie grasuje ta straszna choroba: Cebulę upieczoną w popiele trzeba rozgnieść na kawałku muślinu i przykryć drugim kawałkiem, na który nalewa się łyżeczkę amoniaku. Ten okład, póki jest ciepły, przykłada się dziecku choremu na gardło.

— **Czy szczelne zamykanie okien na noc jest zdrowem?** Wiele osób ma zwyczaj zamykania na noc szczelnie sypialni i niedopuszczanie do niej ani odrobiny zewnętrznego powietrza. Jest to przesąd, który nieraz przypłacamy zdrowiem. Posłuchajmy, jak na sprawę tę zapatrują się lekarze. »Często-



Pałac króla serbskiego w Belgradzie.

kroć«, pisze doktor By, »nabawiamy się samochcąc choroby. Oddychając przez całą noc dusznem powietrzem sypialni, pełnem chorobliwych mikrobów, o których obecności każdy przekonać się może, ktokolwiek wejdzie rano do pokoju, w którym jedna lub kilka osób noc przepędziło. We dnie jesteśmy w ciągłym ruchu, podczas nocy zaś pokój, którego wszystkie okna i drzwi są zamknięte, przesyca się prędko wyziewami ludzkiemi, atmosfera jego staje się duszną i w wielu wypadkach jest jedyną przyczyną migreny lub newralgii, z jakiemi budzimy się rano. Rousseau, który niebył przecież lekarzem, powiedział już dawno: Oddech człowieka śmiertelnym jest dla bliźniego. Jest to prawda, o której zbyt często zapominamy. Zamykamy się szczelnie, obawiając się chłodu nocnego, niepomni na to, że jednocześnie więzimy w sypialni miazmy, wyziewy i wszelkie chorobliwe zarodki, podkopując zdrowie nasze nie wiadomo kiedy i jak. Nie mam zamiaru namawiać do urządzania na noc przeciągu powietrza, owszem unikać go należy starannie i nie otwierać okna w pobliżu lub naprzeciw łóżka. Otwieranie zresztą stósować należy do pory, a w zimie ograniczać się do wentylowania sypialni przez drzwi wewnętrzne. Metoda ta zalecana jest dziś przez wielu lekarzy w Niemczech i Anglii. Co do mnie, doszedłem do niej prostem rozumowaniem, nie wiedząc nawet, że ją praktykują gdzieindziej.«

Oto co mówi inny lekarz będący powagą w Austryi i Szwajcaryi niemieckiej. »W zakładzie naszym większość chorych sypia przy oknach otwartych i nic na tem nie cierpi kuracya. Owszem przekonałem się, że przepis ten hygieniczny jest nieocenionej wartości i zasługuje najzupełniej, by o ile możności rozpowszechnił się nie tylko po szpitalach ale i po domach prywatnych«.

— **Amoniak.** W gospodarstwie domowym amoniak oddaje wielkie usługi; wodą z amoniakiem najlepiej się czyści szczotki i grzebienie, które potem należy wysuszyć przed ogniem lub na słońcu. Spłowiałe dywany, wytarte ciepłą wodą z amoniakiem, odzyskują pierwotną żywość kolorów. Chcąc dobrze oczyścić szyby, trzeba do kubła wody dolać kilka łyżeczek amoniaku. Wszystkie klejnoty, złoto, srebro, i drogie kamienie, szczególniej brylanty wybornie czyszczą się za pomocą amoniaku; tak samo zaśniedziała miedź. Tłuste plamy można wywabić amoniakiem: natarłszy je lekko, przykłada się bibułkę angielską i prasuje żelazkiem.

— **Rozpoznać fałszowany jedwab.** Nieraz słyszy się skargi, że czarne jedwabne materye, pomimo pozornej tęgości pękają i wyglądają jak zatłuszczone; jest to dowód, że zamiast czystego jedwabiu użyto fałszowanego. Można się zaś przekonać o tem w następujący sposób: zanim się kupi materyą, trzeba zażądać próbki i spalić ją; czysty dobrze farbowany jedwab zwija się, wkrótce gaśnie i pozostawia nader mało popiołu, barwy jasno-brunatnej; jedwab zaś fałszowany i przesycony farbą pali się zwolna, włokna tlą się długo i pozostawiają ciemnobrunatny popiół, który nie kruszy się, lecz łamie.

Rozmaitości.

* **W Indo-Chinach rośnie drzewo cay-cay,** którego owoce wielkości śliwki zawierają w środku oleisty migdał. Po wysuszeniu na słońcu, migdały te tłuką się w moździerzach, rozgrzewają na ogniu, następnie zaś wyciskają. Pozostaje z tego tłuszcz, który rozpuszcza się pod wpływem ciepła, tężeje zaś po ostygnięciu. Z pozoru podobny jest do masła kakaowego. W Kambodży wyrabiają z niego świece, które palą się jasno i mają woń przyjemną.

* **W państwie Siamskiem** kupcy i bankierzy ubiegają się o to, żeby mieć za kasyera — małpę. W kraju tem kursuje mnóstwo fałszywej monety a nikt lepiej nie umie się poznać na



Icek i Aron znaleźli na drodze człowieka zemdlałego.
Icek: Aron, daj mu łyk wódki.
Zemdlały (jęcząc): Powietrza! powietrza!
Icek: Ach, jaki on skromny! Tylko powietrza chce!

niej jak prawie małpy. Pod tym względem żaden lichwiarz nie może iść z niemi w porównanie. Czworonożny kasyer z poważną miną bierze w pysk każdą sztukę monety i zębami próbuje jej dobroci. Jeźli pieniądz jest prawdziwy, małpa składa go do kasy, fałszywy rzuca z gniewem na ziemię, objawiając tym sposobem swoje niezadowolnienie. Czworonożni kasyerzy mają prócz tego tę wyższość nad dwunożnymi, że nie pobierają żadnej pensyi i nie uciekają z pieniędzmi za morza.

* **Prawe ramię stolarza** jest zawsze wyższe od lewego, gdyż przy robocie musi je wciąż podnosić. Z tego samego powodu prawe ramię i prawa ręka kowala są wybornie rozwinięte, natomiast lewe ramię i lewa ręka, których mniej używa są też mniej muskularne. Każdy szewc ma plecy wypukłe od ciągłego nachylania się nad robotą; każdy mularz nosi głowę zadartą do góry, przyzwyczajony jest bowiem podnosić ją kiedy pracuje. Znakomici mówcy, deklamatorzy, mają usta szerokie, a przyczyną tego jest dobitne wymawianie każdego wyrazu i podnoszenie głosu; muskuły twarzowe kurczą się wtedy, usta zaś się rozciągają. Uczeni po większej części są brodaci, gdyż praca umysłowa tak ich pochłania, że nie mają czasu i myśli na golenie się.

* **Często w żołądkach ptaków** znajdują się kamyki, piasek, szkło, odłamki krzemieni a niejeden mniema, że zostały połknięte przez żarłoczność. Tymczasem przyczyna tego jest inna. Ptaki są pozbawione zębów, nie mogą więc należycie miażdżyć pokarmów, i te dostają się do żołądka nietknięte. Tam dopiero rozmiękcza je sok żołądkowy, a przy kurczeniu i rozciąganiu się żołądka, połknięte razem z ziarnem kamyki i piasek odgrywają rolę zębów, miażdżą pokarm i zamieniają go na papkę, która łatwo potem daje się strawić.

* **Karty wizytowe z aluminium.** Metal ten coraz liczniejsze znajduje zastósowanie. Po biżuteryi, ramkach, kluczach aluminowych, przyszła kolej na podeszwy, statki, balony a nawet domy z aluminium. Obecnie dzienniki francuskie donoszą o fabrykowaniu biletów wizytowych z tego metalu. Setka ich kosztuje 5 franków. Wynalazcą tego zastósowania jest p. Charpentier Page. Wpadł on przytem na szczęśliwy pomysł połączenia trwałości i elegancyi z dobroczynnością. Karty takie przez odbiorców, po pewnym czasie, mają być oddawane w biurach towarzystw dobroczynnych, które następnie sprzedawać je będą po cenach zniżonych, 2—3 franków. Wchodzą także w użycie jadłospisy, drukowane na aluminie.

* **W jaki sposób można zużytkować żużle.** Przy każdej hucie żelaznej wznoszą się stósy czarnych, szklistych kamieni, zwanych żużlami i uważanych za odpadki zupełnie niepożyteczne. Używają ich wprawdzie do wysypywania szos, ale rozkładają się one szybko pod wpływem powietrza i zamieniają w pył czarny. Niedawno dopiero nauka wynalazła sposób ich zużytkowania, wyrabiając z nich materyał, który może oddać w prze-



JACY MIŁOSIERNI.

Pan: Co widzę? Codopiero byliście u mnie, żebrząc o wsparcie dla biednej rodziny, a teraz przepijacie tu w szynku pieniądze, które wam z litości dałem?!

Włóczęga: Za pozwoleniem! Szynkarz ten jest właśnie owym biednym człowiekiem, którego chcemy wesprzeć. My mamy czułe serce na biedę!

myśle wielkie usługi. Wiadomo, że żużle powstałe przy wytapianiu metali, pojawiają się w stanie płynnym, otóż jeżeli wówczas puści się na nie parę, część ich tężeje jak zwykle, reszta zaś zamienia się w biały produkt, zwany bawełną mineralną, z pozoru przypominającą zwykłą bawełnę, bo jak ona składa się z włokien, tylko znacznie twardszych, mniej gętkich i szklistych. Bawełna ta jest elastyczna, ale pod silnem ciśnieniem kruszy się; ma prócz tego dwie własności: jest niepalna i stanowi zły przewodnik ciepła. W skutek tego będzie mogła zastąpić w wielu razach rzadki i drogi amiant. Bawełnę mineralną będzie można zużytkować przy budowie gmachów, które powinny być zabezpieczone od ognia: zamiast wnoszenia grubych murów, postawi się dwie cienkie ściany, a próżnię między niemi zapełni się wspomnioną bawełną. Może ona stanowić wyborne polepę sufitów i chronić mieszkania poddaszowe od mrozu w zimie i od gorąca w lecie. Największe jednak zastósowanie będzie miała w fabrykach do obwijania rur, któremi rozprowadza się para. Ponieważ jest rzeczą bardzo ważną, ażeby ta para w przebiegu swoim nie ulegała oziębieniu i nie skroplała się, owijano więc rury słomą, korkiem, pilśnią i innymi materyałami, które są złymi przewodnikami ciepła. Ale w skutek wysokiej temperatury rur materyały te, będąc pochodzenia roślinnego, zwęglały się szybko, w skutek czego musiano je często odmieniać. Bawełna mineralna ma tę wyższość nad niemi, że się nie niszczy a najlepiej zabezpiecza parę od ostygnięcia. Na parowcach otaczają kotły materacami z tej bawełny; utrzymuje ona w nich jednakowo wysoką temperaturę a z drugiej strony nie dopuszcza zbytniego rozgrzania się powietrza w salach mieszczących machiny. W lecie bawełna mineralna będzie mogła zastąpić trociny, używane do ochrony lodu w lodowniach. Będąc złym przewodnikiem ciepła, jest zarazem złym przewodnikiem dźwięku i może oddać wielkie usługi tam, gdzie idzie o stłumienie odgłosów. Słowem, zużle, które dotąd się marnowały, teraz będą mogły być spożytkowane.

ŻARTY.

Zapóźno.

— Doktorze, czy nie mógłbyś mi dać skutecznej rady na tę przeklętą pedogrę?

— Bardzo chętnie; nie trzeba było pić węgierskiego wina przez ostatnie lat trzydzieści.

Pani: Weź sobie, Kasiu, tę suknię.

Służąca: Dziękuję pani, ale... co ja z nią zrobię?

Pani: Suknia jest jeszcze bardzo dobra.

Służąca: Tak, ale od pół roku nikt w kratki nic nie nosi.

Gość: Tego już zawiele! Porachowaliście mi trzy ruble za nocleg, kiedy ja z powodu braku łóżka musiałem spać na bilardzie!

Właściciel hotelu: Właśnie, proszę pana, za używanie bilardu płaci się 50 kop. na godzinę, za łóżko zaś tylko rubla na całą dobę.

Na kolei.

Matka: Jasiu, nie wychylaj się przez okno, bo wiatr porwie ci kapelusz.

Ojciec (chwytając kapelusz): O, widzisz już go niema!

Jaś zaczyna płakać.

Ojciec (po chwili): Nie płacz, jak gwizdnę, to kapelusz zaraz powróci. Ot! już jest.

Rodzice zaczynają rozmawiać z sobą.

Jaś (wyrzucając kapelusz przez okno): Niech tatka teraz gwizdnie.

Ojciec: Przypuszczam, że pan chcesz się żenić z moją córką dla pieniędzy?

Złoty młodzieniec: Bynajmniej. Proszę się spytać mego ojca, czy ja kiedy dbałem o pieniądze.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.